

Janusz Rygielski
Bankierzy, część IV

Jak podaje Wikipedia, w dziewiętnastym stuleciu zapoczątkowano w Anglii tworzenie instytucji finansowych o nazwie „building society” (towarzystwo budowlane, spółdzielnia mieszkaniowa), które miały pomóc klasie robotniczej w gromadzeniu oszczędności na kupno domów. W ślad za Anglią powstały w Stanach Zjednoczonych budowlane spółdzielnie oszczędnościowe, nazywane „thrift”, „building and loans” lub po prostu „B&Ls”. Instytucje te nie dążyły do uzyskania zysku. Kierowali nimi społecznie członkowie spółdzielni i lokalne instytucje. Liderzy wierzyli, że stanowiły one część szerszej reformy społecznej i nie identyfikowali się z sektorem finansowym, który służył biznesom. B&Ls nie tylko pomagały ludziom stać się lepszymi obywatelami (poprzez ułatwienie kupna domu), ale również uczyły zwyczaju systematycznego oszczędzania i wzajemnej współpracy, która wzmacniała dobre stosunki między ludźmi. Były to piękne idee, niemal tak piękne jak program pierwszej „Solidarności”.

Przez 40 lat od powołania pierwszej spółdzielni mieszkaniowej w Anglii, w 1831 r. było ich niewiele. Sytuacja zmieniła się radykalnie przy końcu 19. stulecia, gdy Druga Rewolucja Przemysłowa spowodowała wzrost popytu na domy. Popularność B&Ls spowodowała, że w 1880 r. powstał nowy typ spółdzielni o nazwie „Narodowy B&Ls”, zakładanej dla zysku przez naszych dobrych znajomych – bankierów. „Narodowcy” obiecywali czterokrotnie wyższe zyski niż inne instytucje finansowe.

W 1893. r., podobnie jak obecnie, Stany Zjednoczone przeżywały depresję, która spowodowała zmniejszenie liczby członków w spółdzielniach. Ponieważ ciągły napływ nowych członków był konieczny, aby „narodowcy” mogli wypłacać zarówno procenty członkom jak i wynagrodzenia dla pracowników i kierownictwa, przyhamowanie napływu gotówki doprowadzało do bankructwa. Fiasko „narodowców” doprowadziło do wprowadzenia stanowego ustawodawstwa, regulującego tę dziedzinę działalności finansowej. W latach trzydziestych dwudziestego stulecia zmieniono nazwę spółdzielni na „Saving and Loans” – S&Ls.

Lata po II wojnie światowej były okresem rozkwitu pożyczek mieszkaniowych, ze względu na powrót milionów żołnierzy ze wszystkich frontów, którzy w szybkim tempie zakładali rodziny i potrzebowali domów. S&Ls finansowały większość tej ekspansji mieszkaniowej.

W roku 1979 kondycja finansowa spółdzielni mieszkaniowych uległa pogorszeniu, ze względu na wzrost stopy procentowej oraz inflację spowodowaną wzrostem cen ropy naftowej. Setki spółdzielni zostały zagrożone bankructwem. Pod naciskiem rządu, Kongres postanowił uratować ten sektor gospodarki finansowej rozszerzając zakres jego działalności, a także nadając mu uprawnienia w zakresie udzielania pożyczek. Liczono na to, że sektor uratuje się sam. Aby mu dodatkowo pomóc, rząd po raz pierwszy jednoznacznie starał się o zwiększenie zysku firm, w przeciwieństwie do promocji mieszkalnictwa i posiadania własnego domu. Złagodzone wymogi dotyczące księgowości w zakresie sprawozdawczości dotyczącej sytuacji finansowej, a także zlikwidowano wymóg określający minimalną liczbę akcjonariuszy. Bankierzy tylko na to czekali. Nowe zasady ułatwiły przyszłe szwindle, prowadzące do jednego z największych kryzysów finansowych w historii Stanów Zjednoczonych.

W 1986 r. wprowadzono reformę podatkową, która spowodowała obniżenie wartości nieruchomości i zakończyła boom mieszkaniowy. Natomiast firmy S&Ls otrzymały wiele uprawnień bankowych, bez restrykcji obowiązujących wówczas banki. Nie uratowało to jednak tych instytucji ponieważ już wcześniej wdały się one w ryzykowne pożyczki na kupno domów. Niespłacone długi mieszkaniowe wynosiły w USA 700 miliardów w 1976 r., a cztery lata później już 1,5 biliona.

Jeden z głównych mechanizmów, który doprowadził do ówczesnego kryzysu, polegał na tym, że wprowadzono instytucję brokera, który otrzymywał prowizję od klientów, za lokatę ich inwestycji finansowej na najlepszych warunkach. Wcześniej banki i spółdzielnie mogły posiadać jedynie 5 proc. depozytów uzyskanych w ten sposób, ale to ograniczenie zostało zniesione. Dzięki temu mały oddział spółdzielni mógł zgromadzić ogromne kwoty, oferując wysoki procent. Aby móc cokolwiek zarobić na tak kosztownych depozytach musiał udzielać pożyczek na jeszcze wyższy procent, a to zwykle prowadzi do ryzykownych inwestycji. W rezultacie zbankrutowało 747 spółdzielni. Całkowity koszt kryzysu wyniósł około 160 miliardów, z czego 124 miliardy zapłacili bezpośrednio podatnicy. Innymi słowy 124 miliardy wydano na pomoc bankierom.

W roku 2009 koszt niefrasobliwej gospodarki prowadzonej przez Freddie Mac wyniósł 160 miliardów, tyle co cały kryzys w roku 1986. A przecież to tylko jedna, wcale nie największa instytucja spośród bankrutujących tysięcy i to tylko w Stanach Zjednoczonych. Ten przykład ilustruje astronomiczne wręcz rozmiary obecnego kryzysu.

Zdawać by się mogło, że doświadczenia roku 1986. uchronią przed podobnymi sytuacjami w przyszłości. Że państwo, a przede wszystkim prezydent i rząd, zrobią wszystko, aby uchronić społeczeństwo przed mechanizmem wykradania pieniędzy. Niestety, jak dowodzą fakty przedstawione w poprzednich odcinkach sagi o bankierach, obie te instytucje, z pełną świadomością, konsekwentnie przeciwstawiały się ochronie społeczeństwa. Czy tylko amerykańskiego?

Pod koniec ubiegłego roku australijska prasa lokalna doniosła, że 40 gmin w Nowej Południowej Walii straciło fundusze zainwestowane w amerykańskiego olbrzyma finansowego Lehman Brothers. Nieco informacji na ten temat można wyłowić z październikowych numerów prowincjonalnych gazet a także z Internetu. Okazuje się, że wszystkie gminy zainwestowały w firmę Grange Securities. Jaki to musiał być niezwykły zbieg okoliczności. Nie trzeba być specjalistą w zakresie rachunku prawdopodobieństwa, aby dojść do wniosku, że szansa wystąpienia takiego zjawiska losowo, to znaczy w sposób przypadkowy, jest miliony razy mniejsza od możliwości inwazji stworów z innego gwiazdozbioru.

Tak się również złożyło, że Lehman Brothers, kilka miesięcy przed bankructwem, wykupiła Grange Securities, a więc gdy kupiec padł, to australijskie gminne fundusze, zainwestowane w Grange Securities przepadły.

Dawniej gminy nie miały prawa do spekulowania, oszczędności trzymały w bankach, ale w 2002

r. odpowiedni minister zwolnił je z tego ograniczenia. W urzędach gminnych nie było specjalistów od buszowania po wolnym rynku finansowym, więc stworzono takie stanowiska. Specjaliści doradzili, wszyscy tak samo (!) i gminy straciły pieniądze. Oczywiście, nie można winić ekspertów, ponieważ nie mogli wiedzieć, jaką ukrytą grę prowadzono w Ameryce na szczytach.

Jest rzeczą niezwykle interesującą, że Lehman Brothers była pierwszą i chyba jedyną dużą firmą finansową, której rząd amerykański nie udzielił pomocy. Mówiono o niej, że była zbyt wielka, aby mogła polec. Czy tutaj też zagrał przypadek? A może był to istotny element gry na skalę międzynarodową. Firma na skraju bankructwa otrzymuje zastrzyk gotówki, zakupuje co się da zdrowego na świecie, po czym nagle zapada na śmiertelną chorobę i umiera. Akcjonariusze tracą wszystko, podobnie jak inwestorzy z całego świata. To, co zostaje, po odliczeniu pożyczki na zakupy inwestycyjne, trafia do wierzycieli, którzy wcześniej zapewnili sobie odpowiednie gwarancje. Australijskie inwestycje finansowe w firmach kupionych przez Lehman Brothers, posiadające realną wartość, musiały stać się własnością kogoś w Ameryce.

Aby przeprowadzić tego rodzaju operację, prezydent kraju, minister spraw zagranicznych, ambasadorowie i konsulowie musieli przy każdej okazji zachęcać swych australijskich rozmówców do kupowania dobrych amerykańskich inwestycji. Następnie ich wpływowi słuchacze przekazywali polecenia drogą służbową. Tam, gdzie nie było bezpośredniej zależności można było skutecznie oddziaływać grantami lub innymi środkami zachęty materialnej. Zagrało. Australia dała się wpuścić w maliny.

29 sierpnia 2008 r., w lokalnej gazecie wiktoriańskiej Sunraysia Daily ukazała się interesująca informacja. Otóż Jim Belbin, były przewodniczący organizacji First Mildura Irrigation Trust, podał do sądu ministra Tima Holdinga twierdząc, że rada nadzorcza jego organizacji zainwestowała w Grand Securities z naruszeniem obowiązującego ustawodawstwa. Podczas publicznego spotkania Belbin poinformował, że przedstawiciele Ministerstwa Skarbu i Finansów wielokrotnie zapewniali go, że transakcja została przeprowadzona zgodnie z Ustawą o uprawnieniach dotyczących zaciągania pożyczek oraz inwestowania. Co się wkrótce przydarzyło Grange Securities – już wiemy. Czyżby ktoś odpowiednio wcześniej zadbał, aby odbyło się to zgodnie z prawem?

Dodajmy, że jedną z głównych przyczyn bankructwa Islandii, były inwestycje Lehman Brothers.

W numerze 215 biuletynu Patriotycznego Ruchu Polskiego, z dnia 1. kwietnia br. przeczytać można interesujący artykuł Grzegorza Wierzchowskiego zatytułowany „Banki wywożą z Polski miliardy złotych”. Rzeczą dotyczy handlu opcjami walutowymi, sprzedawanymi przedsiębiorstwom przez banki od lipca do października ubiegłego roku. Firmom eksportującym zagranicę dano możliwość ZMNIEJSZENIA ryzyka zmiany kursu walutowego. Z inicjatywą wystąpił znany nam już z cwanych zagrywek JP Morgan. Oferował on pakiety z dwiema opcjami, z których jedna dawała zagranicznym instytucjom finansowym „prawo do pobierania opłat za wyższy niż zapisany w umowie kurs waluty obcej wobec złotego”.

Wprawdzie druga umowa, teoretycznie, dawała preferencje inwestorowi, ale jak to często się zdarza „diabeł był pogrzebany w szczegółach”. Nie była to gra fair play. Szansa dania się obłupić była znacznie większa. W Patriotycznym Ruch Polskim tę hazardową grę porównano do Dużego Lotka, w którym klient płaci za skreślenie sześciu liczb z 49. Jeśli trafi „dwójkę”, „trójkę” lub „czwórkę”, to dostaje z kasy Totka niewielkie pieniądze. Jeśli jednak padnie „piątka” lub „szóstka” (kurs złotówki znacząco spadnie), to musi przekazać Totkowi duże kwoty. W tym przypadku organizator hazardu doskonale wiedział, jakie będą wyniki „losowania”.

Wierzchowski zwraca uwagę na liczne zbiegi okoliczności towarzyszące tej operacji, dodając „choć hipoteza, że międzynarodowe holdingi знаły przyszły kurs złotego i nań wpływały, może wydawać się teorią spiskową”. Nie widzę powodu, aby się zastrzegać. W pierwszym odcinku sagi o bankierach pastor Emry wytłumaczył jak można manipulować wartością akcji na giełdzie i dorobić się fortuny. Manipulacja kursem waluty jest równie prosta. Oczywiście trzeba mieć do tego środki, a tych J P Morganowi nie brakuje.

W okresie przed i w trakcie sprzedaży akcji walutowych „...większość analityków finansowych – ze szczególnym uwzględnieniem ekonomistów z banków sprzedających opcje – przekonywało latem i jesienią, że złoty będzie się umacniał względem euro i dolara”. Optymistyczne publikacje ukazywały się m. in. w „Rzeczypospolitej” i „Gazecie Wyborczej”. Autor pisze, że banki doskonale wiedziały, że za tą pozycją stał spekulacyjny wzrost aktywności banków londyńskich i amerykańskich na polskim rynku i zadaje pytanie, czy przypadkiem nie spekulowali ci, którzy sprzedawali opcje. Wiemy już, że bankierzy mają ogromne wpływy w mediach i skutecznie piorą mózgi specjalistów od ekonomii, wzmacniając im jednocześnie kieszenie. Nawiasem mówiąc, podobnie postępują koncerny farmaceutyczne z lekarzami.

„...Jesienią 2008. r., gdy złotówka zaczęła lecieć w dół, spadkom tym pomagały właśnie... JP Morgan i UniCredit (również rozprowadzająca pakiety opcji walutowych – JR). Pierwsza z tych instytucji, sprzedająca w Polsce opcje głównie za pośrednictwem lokalnych banków, pod koniec października [2008] opublikowała wyjątkowo nierzetelny raport na temat sytuacji polskich finansów. Zawarto w nim m.in. sugestię, że nasz kraj czekać będzie znacznie gorszy kryzys niż na Węgrzech, a złoty jest dużo słabszą walutą niż forint. Raport, z którym mogli zapoznać się inwestorzy na całym świecie, mógł odbić się na złotówce, jedynie negatywnie”. Wierzchowski podaje więcej przykładów.

W efekcie wyprowadzono z Polski 20 – 30 miliardów złotych.

W bankach wyprowadzających z Polski kapitał pracowali lub pracują byli polscy premierzy, wicepremierzy, ministrowie, prezesi instytucji centralnych. Można domyślać się, że za godziwą opłatą udzielają tym instytucjom informacji o polskim rynku finansowym. Jeden z przykładów był nagłośniony nie tak dawno w mediach.

7 kwietnia br. został opublikowany w USA raport Kongresowego Zespołu Nadzorczego, w którym dokonano oceny strategii ministra skarbu w okresie sześciu miesięcy funkcjonowania TARP czyli Programu Redukcji Kłopotliwych Aktywów (Troubled Asset Relief Program). Chodzi

o to, że instytucje finansowe posiadają miliardowe zobowiązania dłużników, które nigdy nie zostaną zrealizowane. Więc próbuje je wykupić państwo, które będzie musiało dodatkowo opodatkować społeczeństwo. Przypomnę, że George W Bush prowadził długie negocjacje z reprezentacją Kongresu i Senatu, domagając się zaklepania wydatku w wysokości 300 miliardów dolarów. Z wielką niechęcią i pod presją groźby zamieszek oraz wprowadzenia stanu wojennego, przedstawiciele narodu ulegli. Wydatkowaniem tej kwoty zajął się poprzedni minister skarbu Paulson. Krótco po inauguracji Barack Obama uzyskał od Kongresu dodatkowe 700 miliardów, którymi zajął się nowy minister skarbu Greitner.

Kongresowy Zespół Nadzorczy ustalił, że w okresie 6 miesięcy Ministerstwo Skarbu wydało lub podjęło zobowiązania finansowe w wysokości 590 miliardów, prywatny Bank Rezerw Federalnych wydał w imieniu podatników 1.5 biliona, a całkowita kwota bezpośrednich zakupów, pożyczek i zabezpieczeń, udzielonych do 7 kwietnia, w związku ze staraniami rządu federalnego zapewnienia stabilizacji finansowej, przekroczyła 4 biliony. W dokumencie stwierdza się, że w kwocie tej mieszczą się również zobowiązania podjęte przez Federalną Korporację Depozytów Ubezpieczeniowych (Federal Deposit Insurance Corporation – FDIC).

Jaki z tego wyłania się obraz gospodarki w najbardziej demokratycznym kraju świata? Otóż Senat i Kongres zatwierdziły w sumie wydatkowanie 1 biliona dolarów. Z tego ministerstwo skarbu wydało 590 miliardów. Natomiast sześciokrotnie większe zobowiązania (również w imieniu podatników, choć całkowicie pozbawione jakiegokolwiek kontroli ze strony rządu, Kongresu i Senatu) podjął prywatny Bank Rezerw Federalnych oraz inna instytucja, której nie znałem. Zajrzałem na jej witrynę. Okazało się, że jest to „niezależna agencja rządu federalnego” (an independent agency of the federal government), a jej zadaniem jest “zachowanie i promowanie zaufania społecznego do systemu finansowego US poprzez ubezpieczanie depozytów bankowych i spółdzielni mieszkaniowych”. Zadaniem tej instytucji jest także monitorowanie, identyfikowanie oraz przeciwdziałanie ryzykownym operacjom finansowym.

A więc dwie prywatne instytucje podejmują sześciokrotnie większe zobowiązania finansowe w imieniu rządu niż rząd. Obie doskonale sprawdziły się do tej pory: Bank Rezerw Federalnych poprzez deregulację instytucji finansowych, co doprowadziło do nadużyć na kosmiczną skalę, a instytucji mającej zapisane w statucie kontrolowanie ryzykownych operacji finansowych umknął uwadze fakt, że dokonano ich na kilkanaście lub więcej bilionów. W nagrodę te właśnie instytucje i te same ich kierownictwa otrzymały prawo zaciągania zobowiązań podatników na bilionowe kwoty. Posunięcia te służą wyłącznie ratowaniu instytucji finansowych, które swą pazernością, nadmiernym ryzykiem i zwykłymi kantami doprowadziły do światowego kryzysu. Wspierają, na koszt podatników, swoich kumpli. Czynią to w dodatku w sposób sekretny, ukrywając przed społeczeństwem beneficjatorów miliardowych dotacji. Jeśli takiej polityki nie określić mianem cyrku, to nasuwa się inne, bardziej dosadne słowo. I dotyczy ono nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale całego świata manipulowanego przez rzeczywistych władców USA.

Janusz Rygielski dr nauk technicznych, geodeta, podróżnik, dziennikarz.